

Straszny kardynał

Uczmy się, jak tę grozę opisywać niedosłownie, ze wszystkimi odcieniami i w całej swojej złożoności



Uczmy się, jak tę grozę opisywać niedosłownie, ze wszystkimi odcieniami i w całej swojej złożoności

Felieton z "Nowego Państwa", nr 6/2011

„Kardynał był olbrzymi, z wielkim nosem i całą masą brzydkich brodawek na twarzy” – Zygmunt Nowakowski, aktor, polityk, bardzo popularny publicysta Ilustrowanego Kuriera Codziennego, wraca do swojego dzieciństwa. „ W infule i z pastorałem wyglądał jeszcze wyższy.

Najgorsze było, gdy opadały dymy z kadzideł i pokazywał się na chwilę z wyciągniętymi rękami. Nawet organy przestawały grać, a ja kurczyłem się na ławce”. Ten mistrzowski obraz z krakowskiej katedry z samego początku XX wieku Nowakowski kreśli w „Przylądku Dobrej Nadziei” – książki tak dobrej i tak bardzo niegdyś popularnej (już przed wojną miała kilka wydań), że nawet za komuny ją wydawano, choć Nowakowski żył jeszcze na emigracji i stamtąd ciskał gromami we władarzy PRL. Piłsudczyk, w czasie wojny wróg kontaktów z bolszewią, pozostał w pamięci jako znakomity kronikarz dzieciństwa.

Czekając na przypomnienie Nowakowskiego jako publicysty politycznego, sięgajmy po te wspomnienia. I to wcale nie po to, żeby wracać do *belle époque*, bo z książki dowiemy, że nie były to czasy ani specjalnie lepsze, ani gorsze od naszych. Po prostu sobie były. Sięgajmy raczej po to, by uczyć się życie traktować z pewną lekkością, z dezynwolonturą, pomimo grozy, jakie w sobie kryje.

Nowakowski doświadczał grozy w swoim dorosłym życiu. Ale w „Przylądku...” opisuje te swoje pierwsze grozy, jeszcze niedojrzałe, jak te, które wywoływał kardynał z brodawkami, w rękawiczkach i z sygnetem, kiedy tak wsiadał pod katedrą do swojej karocy i jechał przez brzydki i odrapany wtedy Kraków, zatęchłą prowincję imperium Habsburgów.

Uczmy się, jak tę groźbę opisywać niedosłownie, ze wszystkimi odcieniami i w całej swojej złożoności. Największą groźbę i najstraszniejsze wspomnienie Nowakowski wprowadza do wspomnień przez bajkę, którą opowiada mama. To opowieść o śmierci ojca i najstarszej siostry. Domyślamy się tylko, co stało się naprawdę.

Grozę znajdujemy w historii o odwiedzinach świątecznych u śmiertelnie chorej koleżanki. I wreszcie groza przemyka ulicami, ba, mieszka w tej samej klatce, ta groza to c.k. żołnierze, obraz rozkładu cesarstwa i nadciągającej katastrofy. Ale u Nowakowskiego ci żołnierze to poczciwe Szwejki kochające się w służącej rodziny głównego bohatera. To wreszcie dystans, jaki okazuje babka symbolice monarchii.

A także zabawy, takie same, jakie chłopcy lubią od dawna, być może od samego początku ludzkości, zabawy wojny i wojsko. Nowakowski z rodzeństwem urządza pogrzeby ołowianym żołnierzykom, dokonuje nawet rytualnego spalenia Leonidasa, a przy okazji zasłon i firan w domu.

Groza tego dzieciństwa to także ta sama groza, która czai się w polskiej historii, nie tej książkowej, ale doświadczanej rodzinie w biedzie i w upokorzeniu. Mezaliani zubożałej po powstaniu szlachcianki z nieszlachcicem, której owocem jest Nowakowski, dwaj jego bracia i nieżyjąca siostra. Historie szkolnych kolegów, bogatszych i ubogich, Żydów i - jak Nowakowski - gojów.

To byłby zresztą pomysł na napisanie historii Polski przez historię dzieci. O, nie, nie chodzi o standardową „historię dzieciństwa w...”, ale raczej o to, jak historię przeżywały dzieci i jak się kładła na nich cieniem. Jak wychowanie w silnym doświadczeniu historii, tej konkretnej, bliskiej i zostawiającej ślady materialne, więc jak ta historia odbijała się w dzieciach, w tych wszystkich Nowakowskich – także tych, którzy nie mieli pióra na tyle wprawnego, by opisać kardynała.

Co to za historia, zresztą, co to za historycy, którzy nie potrafią odnieść wydarzeń do dzieci, które stawały się mimowolnymi uczestnikami wydarzeń. O ile w przypadku dorosłych, jak to się mówi, aktorów wydarzeń, można stawiać pytania i pytać o słuszność dokonywanych wyborów, o tyle w odniesieniu do dzieci, takie pytania są pozbawione sensu. Dzieciństwo jest twórcze, owszem, ale w żaden sposób nie jest kształtowaniem świata. To w dziecku odbija się ten świat, który stworzyli rodzice; ono może to doświadczenie w sobie przetwarzać, ale w żaden sposób nie odpowiada za nie.

Wreszcie, kiedy dziecko dorośnie, opíše to, co widziało i za co nie ponosi odpowiedzialności. W pewnym sensie dzieciństwo nie istnieje, bo kiedy już stajemy się zdolni, by to wszystko opisać, świat, który je stworzył, już nie istnieje. Odchodzi w przeszłość, jak krakowski Kazimierz, na który się kiedyś zabłąkał Nowakowski: „Starzy Żydzi szli z książkami w rękach. Mieli na sobie czarne chałaty atlasowe, czapki futrzane i białe pończochy”.

Nie ma już tego kardynała, nie ma tamtego Kazimierza. I Nowakowskiego też już nie ma. Pozostaje „Przyłądek dobrej nadziei”, jedna z najlepszych książek o dzieciństwie, jakie napisano.

Zygmunt Nowakowski, *Przyłądek dobrej nadziei*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1968